

## I

Pamiętam cały początek jako serię wzlotów i upadków, małą huśtawkę dobrych i złych myśli. Po uniesieniu w mieście, kiedy się okazało, że otrzymałam pracę, później miałam jednak kilka bardzo złych dni – znowu ogarniały mnie wątpliwości i naprawdę czułam, że popełniłam błąd. W takim stanie umysłu spędziłam długie godziny w podskakującym na nierównej drodze, kołyszącym się dylizansie, którym dojechałam na stację przesiadkową, gdzie miał na mnie czekać pojazd z majątku. Rzeczywiście, zapewniono mi tę wygodę i pod koniec pewnego czerwcowego popołudnia zobaczyłam czekający na mnie przestronny odkryty powóz. Przemierzając tego uroczego dnia krainę, w której здаwała się przyjaźnie mnie witać letnia wiejska słodycz, poczułam przypływ sił, a kiedy powóz skręcił w aleję, ogarnęła mnie ulga, prawdopodobnie nie będąca niczym innym jak dowodem mojego głębokiego wahania. Chyba spodziewałam się, albo obawiałam, że trafię do bardzo przygnębiającego domostwa, dlatego to, co zobaczyłam, okazało się miłą niespodzianką. Pamiętam przyjemne wrażenie, jakie wywarł na mnie szeroki, jasny fronton posiadłości, pootwierane okna i świeże

firanki oraz wypatrujące w moim kierunku dwie pokojówki. Pamiętam trawnik, kolorowe kwiaty i chrząst kół mojego powozu na żwirze, a także zachodzące na siebie korony drzew, ponad którymi na tle złocistego nieba krążyły i krakały gawrony. Ta scena zawierała w sobie wielkość jakże odmienną od widoków, z jakimi miałam do czynienia w moim skromnym domu. Gdy tylko powóz się zatrzymał, w drzwiach stanęła elegancka kobieta z dziewczynką na rękach i dygnęła przede mną tak wytwornie, jakbym była co najmniej panią tej posiadłości albo bardzo ważnym gościem. W rezydencji przy Harley Street zyskałam przekonanie, że to miejsce jest znacznie skromniejsze, a wrażenie z chwili przyjazdu, jak sobie przypominam, kazało mi przypuszczać, że właściciel, dżentelmen w każdym calu, nie ujawnił mi wszystkich szczegółów nowej pracy, abym mogła się nią jeszcze bardziej cieszyć.

Do następnego dnia nie odwiedziły mnie ponowne załamania, ponieważ najbliższe godziny radośnie spędziłam w towarzystwie młodszej z dwojga moich podopiecznych. Dziewczynka, która towarzyszyła pani Grose, natychmiast wydała mi się stworzeniem tak urzekającym, że opiekę nad nią uznałam za cudowny dar od losu. Była najpiękniejszym dzieckiem, jakie do tej pory poznałam. Później zastanawiałam się, dlaczego mój pracodawca opowiedział mi o niej tak mało. W nocy spałam niewiele, ponieważ byłam zbyt rozbudzona; ten stan ducha także mnie zaskoczył i był kolejnym dodatkiem do wrażenia, że ugoszczono mnie nadzwyczaj szczerze. Otrzymałam ogromny, wspaniały pokój, jeden z najlepszych w domu, z podwójnym, bardzo wygodnym łóżkiem, ciężkimi

wzorzystymi zasłonami i wysokimi lustrami, w których po raz pierwszy w życiu mogłam się obejrzeć od stóp po czubek głowy. Uderzyło mnie jednak to, że wspaniałe wygody, które mi udostępniono, są jednak nadmierne wobec raczej skromnej roli, jaką miałam odgrywać w posiadłości. Już na samym początku zostałam poinstruowana, że powinnam jak najlepiej ułożyć sobie relacje z panią Grose; w trakcie podróży dyliżansem niepokoiłam się tą kwestią. Mój niepokój na samym początku mogła wzbudzić jedynie jej autentyczna radość ze spotkania ze mną. Wystarczyło mi pół godziny, by dostrzec, że ta krępa, prosta, zwyczajna, schludna i poczciwa kobieta bardzo się pilnuje, aby nie okazywać nadmiernego zadowolenia z mojego przybycia. Zastanawiałam się nawet przez chwilę, co jest tego powodem. Gdybym zdobyła się wówczas na głębszą refleksję, mogło to wzbudzić we mnie zaniepokojenie i nawet jakieś podejrzenia.

Ale uspokajałam się, tłumacząc sobie, że nie powinnam odczuwać żadnego niepokoju wobec czegoś tak pięknego jak promienne oblicze mojej dziewczynki. Uznałam, że właśnie wizję jej anielskiej urody – bardziej niż cokolwiek innego – powinnam obwiniać o bezsenność, która jeszcze przed świtem kazała mi kilkakrotnie wstawać z łóżka, spacerować po pokoju i chłonąć pełen obraz nowego miejsca oraz zastanawiać się nad perspektywą kolejnych dni. Obserwowałam przez otwarte okno błądy letni świt, przyglądałam się widocznym stąd zabudowaniom, a gdy wraz z ustępowaniem mroku zaczęły świergotać ptaki, nasłuchiwałam, czy nie powtórzą się dźwięki, które chyba wcześniej złowiłam uchem – znacznie mniej naturalne, za

to dobiegające nie z zewnątrz, ale z wnętrza domu. Przez moment byłam pewna, że rozpoznałam przytłumiony i odległy płacz dziecka, a trochę później aż podskoczyłam, usłyszawszy w korytarzu, niemal sprzed moich drzwi, lekkie kroki. Te wrażenia były jednak na tyle słabe, że wówczas się nimi nie przejęłam. Powróciły do mnie dopiero w świetle, a w gruncie rzeczy powinnam powiedzieć „w mroku” innych, późniejszych wydarzeń. Pilnowanie, uczenie, „kształtowanie” małej Flory było teraz aż nazbyt oczywistym sposobem na szczęśliwe i pożyteczne życie. W gronie służby uzgodniliśmy, że od następnej nocy dziewczynka będzie sypiała u mnie, dlatego w moim pokoju ustawiono już małe, białe łóżeczko. Roztoczyłam nad nią pełną opiekę i tylko na tę ostatnią noc Flora pozostała jeszcze z panią Grose, bo przecież byłam dla niej obcą osobą, a ona bardzo nieśmiałym dzieckiem. Mimo jej nieśmiałości – o której sama dziewczynka mówiła w najdziwniejszy sposób, absolutnie szczerze i z odwagą, przyznając się do niej bez skrępowania, z głębokim, słodkim spokojem świętego dzieciątka Rafaela, pozwalając o niej dyskutować, traktować jako zarzut i kształtować w jej obliczu nasze zachowanie – byłam głęboko przekonana, że Flora mnie polubi. Za podobną otwartość polubiłam już samą panią Grose: za zadowolenie, z jakim przyjmowała mój zachwyt i podziw, kiedy zasiadałam do kolacji przy czterech wysokich świecach naprzeciwko mojej rozpromienionej podopiecznej, usadowionej na dziecięcym krzeselku, z serwetką pod szyją, spoglądającej na mnie znad chleba i mleka. Oczywiście, pewne kwestie w obecności Flory mogły padać pomiędzy

mną a panią Grose jedynie w formie znaczących i zachwyconych spojrzeń, a także ukrytych lub zawołanych aluzji.

– A chłopczyk... jest podobny do niej? Czy również jest taki nietuzinkowy?

Tego dziecka nie dało się zakłopotać.

– Och, panienko, absolutnie nietuzinkowy. Jeżeli i to dziecko uważa panienka za nietuzinkowe...

Pani Grose zatrzymała się z talerzem w ręce i popatrzyła promiennym spojrzeniem na naszą małą towarzyszkę, która spoglądała spokojnymi, niebiańskimi oczyma to na jedną, to na drugą z nas, nie okazując najmniejszego zaniepokojenia.

– A jeśli tak uważam...?

– To ten mały dżentelmen wprost panią uwiedzie!

– Ha, więc chyba przybyłam tutaj, żeby ktoś mnie uwiódł. Jednak obawiam się... – Pamiętam, że w tamtej chwili poczułam potrzebę, żeby dodać: – Obawiam się, że bardzo łatwo jest mnie uwieść. To się stało już w Londynie!

Wciąż widzę szeroką twarz pani Grose w momencie, w którym dotarło do niej znaczenie tych słów.

– Na Harley Street?

– Na Harley Street.

– Cóż, panienko, nie byłaś pierwszą i nie będziesz ostatnią.

– Wcale nie mam ambicji – niemalże się roześmiałam – żeby być jedyną. Niemniej, mój drugi podopieczny, jak rozumiem, wróci tutaj jutro?

– Nie jutro, lecz w piątek, panienko. On także przyjedzie dylizansem, pod opieką strażnika, i wyjedzie po niego na stację ten sam odkryty powóz.

Po tej informacji wyraziłam przekonanie, że byłoby rzeczą właściwą a zarazem miłą i przyjazną, gdybym to ja czekała na niego na stacji dylizansu wraz z jego siostrzyczką. Pomysł ten pani Grose poparła z takim entuzjazmem, że uznałam jej reakcję za swego rodzaju krzepiącą zapowiedź – dzięki Bogu, nigdy fałszywej – iż także w przyszłości będziemy w każdej sprawie jednomyślni. Och, ona się naprawdę cieszyła z mojego przybycia do Bly.

Następnego dnia nie mogłabym uczciwie nazwać mojego samopoczucia szczerą reakcją na radość, jaką okazywano mi po przyjeździe. Prawdopodobnie było to najwyżej lekkie przygnębienie, które we mnie powstało, kiedy znacznie staranniej oceniłam sytuację, w jakiej się znalazłam. Obejrzałam teren posiadłości, poznałam zamieszkujących ją ludzi i dzięki temu lepiej zrozumiałam, w jakich warunkach będę teraz funkcjonować. Okazało się, że spadł na mnie ogrom zadań, na które nie byłam jeszcze przygotowana i które jednocześnie wzbudziły mój strach oraz trochę dumy z siebie samej. Z powodu mojego poruszenia planowe lekcje nieznacznie się opóźniły. Doszłam do wniosku, że moim pierwszym obowiązkiem będzie przekonanie do siebie dziecka i że powinnam użyć do tego jak najbardziej subtelnych metod. Spędziłam z dziewczynką prawie cały dzień na długiej wyprawie, bowiem szybko uzgodniłam z nią – ku jej ogromnemu zadowoleniu – że to ona i tylko ona oprowadzi mnie po całym domu. Pokazywała mi go krok po kroku i pokój po pokoju, zdradzała ich kolejne sekrety, zabawnie i przesympatycznie szczebiocząc, i dzięki temu praktycznie w ciągu pół godziny zostaliśmy serdecznymi przyjaciółkami.

Byłam zaskoczona, że chociaż Flora jest młodziutka, kroczy naprzód z wielką pewnością siebie i odwagą. Czują się doskonale w pustych izbach i ponurych korytarzach, na krętych schodach, na których ja musiałam co chwilę przystawać, a nawet na szczycie starej kwadratowej wieży z machikułami, które przyprawiły mnie o zawroty głowy. Wiodła mnie do przodu jej poranna radość i nastawienie, żeby raczej słuchać opowieści niż o cokolwiek ją pytać. Nie widziałam Bly od dnia, kiedy na dobre opuściłam posiadłość, ale ośmielę się powiedzieć, że moim starszym i znacznie bardziej doświadczonym oczom ta posiadłość wydawałaby się dzisiaj znacznie skromniejszą. Ale gdy moja mała przewodniczka o złotych włosach i w niebieskiej sukience tańczyła przede mną w zakamarkach i biegła wąskimi przesmykami, widziałam posiadłość jako romantyczny zamek, zamieszkały przez różowego chochlika, jako miejsce, które w nieznanym sposobie, dla zachowania świeżych barw, skradło najlepsze kolory najbardziej fantastycznym opowieściom i baśniom. Czy przypadkiem nie wpadłam, pogrążona w sennych marzeniach, do jakiejś książki z bajkami? Otóż nie; znajdowałam się w dużym, brzydkim, starym, lecz wygodnym domu, zawierającym pewne elementy jeszcze starszej budowli – usunięto tylko ich część – w którym wszyscy mieszkańcy wydawali się zagubieni niczym gromadka pasażerów na ogromnym, dryfującym statku. I, co dziwne, stałam za jego sterem!